NUMER 43. DNIA 25-go PAŹDZIERNIKA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Franciszek Deak o Polsce.

Setna rocznica urodzin Franciszka Deaka stała się na Węgrzech uroczystością wielką, narodową. Węgrzy czczą w Deaku uosobienie prawości i cnoty, uważają go za Arystydesa węgierskiego, którego słów słuchali przez długi szereg lat, swego „mędrca z Kehidy“ zdanie po nad wszystko ważąc. Deak, twórca ugody węgierskiej z r. 1867 i nowożytnego państwa węgierskiego, stał się niejako herosem narodowym Węgrów.

W chwili uroczystości godzi się przypomnieć mowę Deaka, którą miał w r. 1833, jeszcze jako zupełnie nieznany poseł komitatu Zala, w Sejmie węgierskim. Było to po zgnieceniu powstania naszego z roku 1831 i w czasie największego ucisku na ziemiach polskich. Na Sejmie węgierskim w Preszowie wniósł Jan Balogh, aby wysłać adres do cesarza Franciszka I. z prośbą, aby w imię wiedeńskiego traktatu ujął się za Polską i podeptanemi jej prawami.

Wniosek ten był rządowi austrjackiemu bardzo nieprzyjemny i stosownie do życzenia palatyna, arcyksięcia Józefa, dołożyło stronnictwo rządowe wszelkich starań, aby go obalić. W czasie żywej dyskusyi, posunął się jeden z koryfeuszów tej partji, deputowany z Granu, Józef Andrassy do orzeczenia, że jest rzeczą naturalną, że narody giną.

Te cyniczne słowa oburzyły Deaka, który jako deputowany, dopiero od kilku miesięcy zasiadał w Sejmie i należał do opozycji.

— „Narody giną — wołał — sądzę, że deputowany z Granu nic nam nowego nie powiedział.

Ale historja nie uczy nas, aby było obowiązkiem naszym nie wesprzeć podług możności narodu, który pochwycony wirem największego niebezpieczeństwa, walczy o swój byt, ile mu tylko sił starczy.

...Nie myślę tu objaśniać dziejów Polski w przeszłem stuleciu; musiałbym wyliczać szereg srogich ciosów, które spotkały ten naród. Nie będę też badał jawnych i ukrytych przyczyn podziału, ani wyliczał następstw, jakie prawdopodobnie z niego wynikną; — czas niebawem pouczy Europę, czy dobrze się stało to, co się stało. Lecz gorżkie uczucie musi nas przejmować, gdy widzimy wykreślony z rzędu wolnych ludów naród, który w XVI. wieku był najpotężniejszym na północy. Zdeptaną jest dawna wielkość narodu, w gruzach leżą świadectwa i pomniki dawnej wolności, a nad przesiąkłemi polską krwią brzegami Wisły dymią ogniska już nie wolnych Polaków.

Naszą boleść powiększa jeszcze uczucie, że prócz współczucia i próśb nic nie możemy wię-

cej dać Polakom, bo i nad nami ciąży od wieków żelazna ręka nieubłaganego losu. Dajmy więc Polakom to, co możemy i to bez wahania i bez zwłoki. Czyż nie przystoi nam prosić rząd o przywrócenie wolności naszym pognębionym sąsiadom? Bo bez wolności nie ma stałego i niezamąconego szczęścia".

Przemówienie i interwencja Deaka była bezskuteczną, ale przypomnieć ją jednak się godzi, zwłaszcza w czasach dzisiejszych.

Bibljoteka Jasnogórska.

P. Wiktor Gomulicki otrzymał od O. Rejmana, Przeora Jasnogórskiego list, którego miejsca najważniejsze opiewają:

„Niechajby, z powodu 300-ej rocznicy X. Kordeckiego, zgromadzono na Jasnej Górze wszystko, *co kiedykolwiek o obrazie Najświętszej Panny, o Jasnej Górze i o Kordeckim napisano i wydrukowano.*

Przykro wyznać, że prawie nic, bo zaledwie trzy lub cztery wydania pism takich znajdą się u nas, a przecież Estreicher w swej „Bibliografji" wymienia ich tak wiele — choć nie wiem, czy jest nawet tak szczęśliwym, żeby wszystkie zaznaczył.

Z książkami o tym przedmiocie mówiącemi, ma się tak wogóle, że w przeważnej liczbie każda coś nowego przynosi i to właśnie dało autorowi impuls do pisania.

Ma wprawdzie Jasna Góra źródła, nie wszystkie wszakże, byłoby więc rzeczą bardzo pożądaną zgromadzić odrazu, w całości, u nas — boć lepiej u nas, niż w najlepszych rękach prywatnych — wszystko, co dotyczy tego miejsca świętego. Niechby rocznica X. Kordeckiego sprawiła, żeby ci, co ją chcą prawdziwie, bo realnie uczcić, w żarliwości swej do Najświętszej Panny Częstochowskiej ten brak wypełnili, składając posiadane dzieła na ofiarę klasztorowi".

Do słów zakonnika dodaje p. W. Gomulicki od siebie:

„X. Nieszporkowicz, autor „Odrobin stołu Królewskiego" dał (str. 11 i 12 wydania z roku 1757) wiadomość o rękopisie pergaminowym, znajdować się mającym w bibljotece jasnogórskiej, a zawierającym historję cudownego obrazu. Autorem opisu był Mikołaj Lanckoroński, który, udawszy się do Konstantynopola w r. 1517, w poselstwie od Zygmunta I., z pobożnej ciekawości dowiadywał się historji obrazu od starych kapłanów greckich, zapisaną tę historję mających", a za powrotem „uczynił o tem relację Królowi, oddając za osobliwy prezent historję o Obrazie tym, na pergaminowych arkuszach wyrażoną z odmalowanemi kilku co celniejszemi dziejami Obrazu".

W innem źródle — nie pamiętam już jakiem — wyczytałem później, że ten drogocenny rękopis z miniaturami, z bibljoteki Jasnogórskiej niewiadomym sposobem zginął i mimo najpilniejszych poszukiwań, odnaleźć się nie dał.

Znając te dwa fakty, łatwo pojąć zdziwienie, jakiego doznałem, gdy przeglądając wydany we Lwowie w roku 1894 „Katalog rękopisów" nieistniejącej już antykwarni zacnego i nieodżałowanego ś. p. Jakóba Kazimierza Gieysztora znalazłem (pod nr. 608) co następuje:

„Historja Ven. imaginis B. Mariae in Claro-Monte, per Nic. Lanckoroński dedic. Sigismundo Regi Poloniae. Folio, kart 11, obrazków kolor. 6. Cena rb. 50".

Rozumie się, żem natychmiast tego rękopisu zażądał, ale wdowa po antykwarjuszu (sam on już nie żył) oświadczyła mi, że nr. 608 nabyło lwowskie „Ossolineum".

Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą dowiedzieć się, jaką drogą własność bibljoteki Jasnogórskiej dostała się do warszawskiej antykwarni, która — dodajmy — nie zdawała sobie widocznie sprawy z wyjątkowej wartości rękopisu, skoro oceniała go tak tanio.

Cokolwiekbądź, wobec zapoczątkowanej dziś akcji, ów cenny pergamin powinien bezwarunkowo do swych pierwszych, prawnych właścicieli powrócić“.

Fakt, podany przez p. Gomulickiego, świadczy, jak bardzo rozlatywały się wielkie nasze księgozbiory. Co do rękopisu, w mowie będącego, to miał on szczęście o tyle przynajmniej, że dostał się do instytucji publicznej, gdzie konserwacja jego jest pewna, ale ile to rękopisów ważnych ginie w rękach prywatnych, czasami bezpowrotnie. Winę w tym wypadku ponoszą przedewszystkiem poprzednie Zarządy bibljoteki w Częstochowie, a i obecny, aczkolwiek myśli podobno o wybudowaniu nowego skarbca, mógłby też trochę więcej poświęcić uwagi dzisiejszemu pomieszczeniu nieocenionych skarbów i pamiątek jasnogórskich. Piszący te słowa miał sposobność niedawno zwiedzić skarbiec częstochowski i widzieć, jak n. p. buńczuk turecki, pamiątka zwycięstwa Jana Sobieskiego pod Wiedniem, wala się w kącie między różnymi rupieciami, jak inne przedmioty pamiątkowe pomieszczone są w szafach, zupełnie celowi swemu nieodpowiadających, przypadają prochem etc.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(17)

Karski poznał gruntownie psychologię uprzężnego zwierzęcia. Nauczył się skracać czas rozmyślaniem, jak prędko skończy się przykry „bystrzec“ i szkuta na „lżejszą“ wejdzie wodę; nauczył się wybierać wśród kamieni dogodne dla stąpnięcia miejsca, nauczył zmieniać, nie zwalniając kroku, położenie naramiennika, nauczył pilnować taktu, zręcznie w biegu „zacinać się na pólkę“ lub z niej odczepiać.

Wspaniałe widoki przestały dlań istnieć. Nienawidził razem z holownikami malowniczych, skalnych rumowisk, żółtych piachów, w których noga zapadała się po kostkę, barwnych szczereków, układanych ślicznymi gzemsami na pochyłych odmiałach. Tam noga zbyt się obsuwała i krok zamieniał się w pół kroku. Nie lubił pięknych zakrętów z rwącymi wartami, cichych, płytkich zatok, przez które trzeba było brnąć albo buchtować dokoła; nie lubił rap, głazów, „wilków“ i „prędowin“, gdyż wszystko to mocniej naciskało na obolałe nogi i ramiona...

Wracał z roboty senny, rozbity, schłopiały. Gdy miał czas, brał syna na kolana i głaskał obrzękłymi palcami jego złote włosy. Była to obecnie jedyna jego uciecha. Ale chłopczyna odwykł od ojca i nieraz wyrywał się do matki, wołając:

— Nie... tahle, tahle!..

— Co to znaczy?

— Znaczy: wcale... znaczy, że nie chce cię... Tak rzadko widuje cię teraz, Stefanie — tłómaczyła syna pani Anna.

— Prawda, ogromnie się zmieniłem! — odpowiedział Karski.

Nieraz, gdy siedział taki milczący i zobojętniały, patrzała nań pełnemi łez oczyma. Raz obmywając mu owrzodzone nogi, przycisnęła nagle gorące swe usta do nich.

Mężczyzna zmieszał się i nogi szybko pod siebie schował.

— Co to?

— Jesteś święty!..

— Wcale święty nie jestem. Przeciwnie, czuję się coraz gorszym. Tracę jakoś zdolność do współczucia. Wiesz co, może masz i rację, że na tej drodze nic znaleźć nie można, oprócz... spokoju sumienia! I to — dość lichego, względnego spokoju... blizkiego obojętności! Być może, nie przeczę, że gdyby wszyscy zaczęli brać czynny udział w koniecznych robotach i pomagać na

każdym kroku innym pracownikom, znaczna część ciężaru zostałaby zdjęta z warstw robotniczych i praca rozłożona równomierniej... Lecz aby to mogło nastąpić, konieczne jest takie gruntowne i powszechne przekształcenie pojęć, zwyczajów, uczuć, że wprost gdyby to była droga jedyna, rozpacz mogłaby ogarnąć człowieka... Na szczęście tak nie jest!.. Życie toczy się ławą i wszystko zmierza ku jednemu celowi... Idziemy bezwarunkowo od zmroku ku słońcu... Ale nawet, gdyby tak nie było, to... musiałby ktoś przecie zacząć!..

— Nie mam już na to ni sił, ni zdrowia!— szepnęła cichutko. Opuściła blade ręce wzdłuż ciała, a na długich, ciemnych rzęsach perliły się łzy.

Spojrzał na nią tkliwie, przypomniał sobie, jaką była niegdyś, jak podtrzymywała i zagrzewała go nieraz w ciężkich przeprawach...

— Kochana! — wyrzekł — nie o tem mowa!..

— Wiem, wiem, ale nie chciałabym być dla nikogo ciężarem!..

Przytulił ją do siebie, zdziwiony jej chudością, którą teraz dopiero spostrzegł.

— Jakże strasznie zmizerniałaś przez te parę tygodni... Nie płacz, Stefan za ciebie odpłaci, odrobi... Stać go na dwoje!.. mówił w dumnem poczuciu swej siły.

Usnęła przy jego boku, ukołysana opowieścią o tem, co będą robili i jak będą mieszkali tam... na południu.

Mało jednak mieli nawet takich wieczorów, gdyż praca wciąż rosła, pochłaniała siły i myśli. Karski zasypiał literalnie z ostatnim kęsem strawy.

— Mało wziąłeś ludzi! wyrzucał Damianowi przy spotkaniu.

— Bóg świadkiem, chciałem więcej, ale sam pan widział, czy mogłem... — tłómaczył się ten.

Okolica stawała się coraz dzikszą. Dolina rzeki węziała. Brzegi zbliżały się i zasnuwały widnokrąg. Znikły na wodzie strzeliste, proste „płosy" i rozległe, jasne dale. Nurt żylasty, zestrzelony w jedno koryto, rwał potężnie na zawrotach, szumiał złowrogo na progach, na wielkich głazach toczących się po dnie, o które czepiając kędzierzyły się prądy. Statek piął się ostrożnie z zakrętu w zakręt rzeki, z płosy na płosę, wstępując po nich na górę, jak po kryształowych schodach. Piersi holowników czuły coraz dotkliwiej holowany ciężar. Na ścieżce przeważał gruby żwir lub ostre, skaliste szczepy. Czasami stawała się ona tak wąską, że wyglądała jak gzems wątły wypłukany przez fale w twardem urwisku. Czasem brnęli po kostki w wodzie po takim gzemsie, a obok warczały wiry odmętów, ku którym pchała ich nawisła nad głowami opoka. Sznur pólki naprężał się jak struna, statek targany przez wiry drgał lękliwie. Guran oczu nie spuszczał z wody i chudł z niepokoju. Posuwali się naprzód bardzo wolno i co noc stawali na kotwicy u brzegu, gdyż wycieńczeni oryle musieli dłużej wypoczywać.

Zgęstniały mrok nocy również nie pozwalał posuwać się bez przerwy. Bądź co bądź byli już daleko na południu. Sadyb ludzkich nie spotykali nigdzie, ani śladu. Raz tylko spostrzegli człowieka, który płynął na małej tratwie, podobny do kopy siana w kudłatem futrze reniferowem, wywróconem siercią na zewnątrz. (C. d. n.)

ŻYCIE W POMPEJI.

Podług rezultatu wykopalisk pompejańskich odtworzył prof. Luigi Fischetti z Neapolu obraz starożytnego rzymskiego miasta, co legło ongi przysypane popiołem Wezuwiusza.

Wykopaliska w Pompeji odsłoniły całkowicie żywot starego miasta, a to nie w pisanych pomnikach, ale według domów, mebli, sukni, zapisek mieszkańców Pompeji. Przestudjowano tam już każdy cal gruntu, wszystkie skarby architektoniczne i inne i wykazano, że starożytną Pompeji można by odbudować w czasach dzisiejszych z jak największą dokładnością. Można wyrobić sobie wierne wyobrażenie o tem, jak

żył lud owego czasu, jak pracował i jak umierał. Jakby czarodziej jaki cofnął nas o dziewiętnaście wieków wstecz i pokazał naocznie wspaniałe lato przed strasznym dla Pompeji rokiem 79.

Pompeja była wówczas w modzie, a znalezione tu skarby sztuki dowodzą, że najznakomitsi współcześni artyści pracowali nad przyozdobieniem letnich siedzib bogatych Rzymian. Było to beztroskliwe, wesołe życie, które i Cycerona i Horacego i tysiące innych patrycjuszów wabiło w mury Pompeji. Była to letnia stolica Rzymu ówczesnego, która najrozmaitszymi rozrywkami pociągała ku sobie żądnych zabawy i uciechy. Obok ludności bogatej, żyli tu naturalnie i rzemieślnicy, a handel kwitł tak jak we wszystkich wolnych ówczesnych miastach. Że wybory na rynku roznamiętniały ludność do najwyższego stopnia, tego dowodzą znalezione kartki wyborcze i wyborcze pisma ulotne. Nie było też bóstwa w Pompeji, któreby nie miało własnej świątyni. Najbardziej były czczone Fortuna i Wenus, chociaż i o Bacchusie nie zapominano. Budynki publiczne i świątynie były bogato przyozdobione.

Najważniejszym budynkiem na Forum, była Bazylika, kryta hala podparta kolumnami wysokimi na 218 stóp. Tutaj chronili się kupcy przed deszczem i upałem, tutaj omawiano najważniejsze kwestje publiczne.. Na końcu Bazyliki wymierzali sędziowie sprawiedliwość. Na Forum urządzane były uroczystości, a część tego obszernego placu zastawiona była niewielkimi kramami kupieckimi, w których także i bankierowie, jubilerzy itp. prowadzili swoje interesy. Ogłoszenia na kolumnach Bazyliki zwracały uwagę przechodzącej publiczności. Wybory do rady miejskiej, które były tajne, odbywały się także na rynku.

Pompejanie mieli również dla osobistej wygody ogromną łaźnię, gdzie obok kąpieli odbywały się także bankiety. Za niewielką kwotę użyć było można kąpieli — każdy jednak musiał ze sobą przynosić prześcieradła, mydło etc. Po gorącej kąpieli, następowała bezpośrednio zimna, poczem służący nacierał klientów, aby ich ciału użyczyć gibkości, wreszcie zaś nacierano się zwolna i lekko, pachnącymi olejkami. Z łaźni prowadziła droga do koszar gladjatorów, Rzymianin bowiem lubił się przypatrywać ich próbnym ćwiczeniom, ażeby uzyskać później podstawę do czynienia zakładów w czasie igrzysk. Koszary gladjatorów tworzyły wielkie boisko, otoczone portykiem o stu kolumnach. Wewnątrz znajdowało się 60 cel, w których gladjatorowie wyczekiwali dnia igrzysk.

Potem udawał się elegancki Rzymianin do Amfiteatru, który mógł pomieścić do 13·000 osób. Nigdzie nie był rozdział społeczny bardziej zachowywany, jak tutaj i musiał to bardzo śmiały plebejusz, jeżeli zdołał znaleźć miejsce dla siebie między arystokratami. Sceny z igrzysk wyryte są na grobowcach najznakomitszych gladjatorów. Siła przyciągająca teatru była tak wielka, że lud tłumami spieszył na igrzyska. Obok bogatych hełmów, otrzymywali zwycięzcy w nagrodę także gałązki palmowe i wieńce. Oprócz teatru wielkiego istniały dwa mniejsze teatry, w których grywano tragedje i komedje, przez aktorów przeważnie greckiego pochodzenia. Bilety wstępu sporządzane bywały z metalu.

Ulice Pompeji z trotoarami i rynsztokami także są godne widzenia. Publiczne studnie ozdobione były rzeźbami, a zaopatrzenie w wodę było bogate i wygodne. Na głównych ulicach stały sklepy z marmurowymi stołami i wielkiemi oknami wystawowemi. Widać szyldy z wyobrażeniami różnych towarów, a dla reklamy i zwrócenia na się uwagi były niektóre sklepy pomalowane w jaskrawe kolory. Jeden z największych domów bankowych w Pompeji posiadał Caecilius Jucundus, z którego pozostawionych rachunków wynika, że pobierał on od sum wypożyczonych 2 procent miesięcznie i brał udział w każdej publicznej licytacji wartościowych przedmiotów. Na wszystkich prawie rogach ulic znajdowały się winiarnie, gdzie obok napojów sprzedawano także i potrawy.

Pomiędzy sprzętami do użytku codziennego znaleźć można haczki, kotwice, czółenka tkackie, igły, młotki, łopaty i tp.

Lekarze wreszcie pompejańscy sądząc po 40 znalezionych narzędziach chirurgicznych musieli być bardzo zręcznymi. Znaleziono między innemi lancety, obcęgi, sondy, żelazka, noże operacyjne, zwierciadła itd.

ULICZNIK PARYZKI.

OPOWIADANIE Z CZASÓW KOMUNY.

Miało to miejsce we czwartek 25. Maja 1871 r. — mówił generał Dauvernon, dzielny weteran — byłem wówczas kapitanem w 6 pułku linjowym, bo walcząc z Komuną, mieliśmy przeciw sobie i starców i kobiety, a nawet dzieci.

Bóg jeden wie, z jakim wysiłkiem ulica Rivoli była prawie zdobyta.

Mieliśmy dotrzeć aż do placu Chateau-d'Eau i do Bastylji, by zepchnąć tłum z pomocą wojsk Ladmirault'a, Cissey'a i Vinoy'a.

Na mapie wydaje się to bardzo łatwem, ale proszę spróbować z bronią w ręku!

Pułk 5-ty miał prowadzić jednocześnie akcję w III. cyrkule miasta, posuwając się wązkiemi i brudnemi uliczkami starego Paryża, a mianowicie ulicami św. Marcina, Beaubourg, du Temple, des Archives, Vieille- du Temple i td.

Mój oddział został przeznaczony do oczyszczenia ulicy du Temple, prawdziwego gniazda powstańców... Barykady co sto kroków — na wszystkich rogach ulic musieliśmy je zdobywać bagnetem, jedną po drugiej.

Żołnierze rewidowali wszystkie domy, w których okienice nie były otwarte, lub okna zamknięte. Czarni od prochu komunardzi umierali, można im to przyznać, odważnie... z uśmiechem na ustach stawali sami pod murem, sami odsłaniali ubranie na piersiach... Bezimienna krótka salva... i szło się dalej!...

Zburzyliśmy barykady na ulicach Montmorency i Chapon; powstańcy schronili się ku dzielnicy Temple. Była druga godzina po południu, słońce piekło dotkliwie, pot spływał nam po twarzach; chcąc odpocząć chwilę i przekąsić cokolwiek, zatrzymaliśmy się za barykadą na ulicy Chapon; z bocznych ulic dochodziły wystrzały — tu, gdzieśmy byli, uspokoiło się stosunkowo, lecz mieliśmy się na baczności i broń była nabita.

Nagle zobaczyliśmy nadbiegającego żołnierza, wysłanego przezemnie na zwiady na ulicę Pastourelle i des Graviliers; wdrapał się na barykadę, wołając:

— Baczność, kapitanie, komunardzi nadchodzą ulicą Pastourelle!

Rozkazałem żołnierzom uszykować się w miczeniu za barykadą, sam zaś wdrapałem się na barykadę, zrobioną pospiesznie z bruku, materaców, mebli, kilku powozów i patrząc przez otwór umyślnie pozostawiony — czekałem...

Nagle zjawił się na rogu ulicy Pastourelle chłopiec mniej więcej piętnastoletni, miał na głowie czapkę gwardzisty narodowego, za pasem czerwonym, który obciskał jego niebieską bluzę, świecił rewolwer, prócz tego miał szablę przy boku, a w ręku karabin.

Ulica zasiana tu i tam zwłokami komunardów, wydawała się spokojną... to nasunęło mu domysł, żeśmy opuścili barykadę, udali się przez Montmorency albo ulicą Haudriettes w dalszy pochód, uczynił przeto gest przyzywający, poczem zobaczyłem wychodzących nagle z za rogu ulicy około pięćdziesięciu powstańców; złożyli oni chwilową naradę, po której dzieciak pobiegł ku barykadzie na wywiady.

Widzę go teraz jeszcze... zbliżał się ku nam — dumny z ważnej roli, — reszta pozostała na miejscu z palcem na cynglu; raz jeszcze zaleciłem milczenie moim ludziom ruchem oczów i ręki.

Malec wskoczył w dwóch susach na barykadę i zaniemówił, spostrzegłszy nas...

— Nie krzycz, bo zginiesz!

Korzystając z jego zdumienia, uchwyciłem go za nogę i rzuciłem w dół barykady po naszej stronie — żywy, jak iskra, natychmiast się podniósł, i nim zdołano mu przeszkodzić, zrobił sobie z obu rąk tubę i krzyknął ze wszystkich sił:

— Nie można iść! Jest wojsko!

Podczas, gdy żołnierze wdrapywali się na barykadę, komunardzi znikli na rogu ulicy, ocaleni przez malca...

Dwóch ludzi rozbroiło chłopaka.

Był to typ paryskiego ulicznika, blondyn, z nosem zadartym, spojrzeniem bystrem i zuchwałem. Żartował teraz, mówiąc żargonem brukowym:

— Dzisz go!... cóż to, nie można w biały dzień wracać do domu! Ja tu mieszkam w sąsiedztwie, przy uliczce Sainte-Avoye.

— Ach, ty łobuzie jeden, zawołałem — to to ty wracasz niby do domu, a to co? — coś ty z tem robił, i wskazałem na przybór wojenny.

— Bagatela!... To ci dopiero dziw! — odparł jeszcze wciąż żartując — wie pan, czasem, można mieć spotkanie nieprzyjemne...

— Tak — rzekłem, by coś powiedzieć — masz rację, a teraz dalej, pod mur!...

Rozkazy były wyraźne, każdy powstaniec, wzięty z bronią w ręku miał być na miejscu rozstrzelany.

Już go ludzie odprowadzali, gdy zwrócił się do mnie:

— Wie pan, panie oficerze, to nie androny co panu mówię, wracałem do domu, patrz pan, oto dowód...

Wyciągnął z kieszeni srebrny zegarek owinięty w papier.

— To jest zegarek mojej matki, która tu w sąsiedztwie jest stróżką... dała go do naprawy do zegarmistrza na ulicy Portepoin a ja poszedłem go odebrać... Czy pan nie pozwoliłby, żebym go odniósł? Za dwie minuty wrócę...

— Kpij zdrów, mój chłopcze...

— Przysięgam panu, wrócę!

— Bajki pleciesz!... Nigdy ci matka nie da powrócić:

— Niby ja powiem po co!

Przeklęty smarkacz!... wydawał mi się szczery i litość odezwała się we mnie... taki młody i jak go tu rozstrzelać!...

— Dalej — rzekłem, pewien że nie wróci — załatw swój interes i wracaj co żywo — jazda!..

— Dziękuję panu, panie oficerze...

Popędził jak szalony ku uliczce Sainte Avoye.

— Dalej w drogę! — zakomenderowałem po chwili.

Żołnierze zaczęli się zbierać; mieliśmy ruszyć ku wskazanemu punktowi.

— Panie kapitanie, a ja! Zapomniał pan o mnie.... Niech pan wybaczy, nie chciano mnie puścić...

Odwróciłem się — to był ten przeklęty malec, rozczerwieniony, zdyszany, bo biegł, by zdążyć na czas... Sam stanął pod murem, twarzą do nas, spokojny i pełen prostoty...

— Jestem gotów!...

Poszedłem do niego, i położyłem mu rękę na ramieniu, sądził zapewne, że chcę odwrócić go twarzą do muru, i rozstrzelać mierząc w plecy. Spojrzał na mnie ze łzami w oczach.

— Ach panie, ja się nie boję, nie jestem tchórzem!

— Wiem o tem dobrze, ty raku, wiem dobrze!...

Popchnąłem go przed sobą i krzyknąłem, dając mu dobre pchnięcie nogą...

— Precz, niech cię gdzieindziej rozstrzelają łobuzie jeden! zmiataj... A spiesz się!...

Tym razem odchodził powoli, bez pospiechu, z rękami w kieszeniach, odwracając się od czasu do czasu, by popatrzeć na mnie, z taką miną, jakby się pytał sam siebie, co to ma znaczyć — wszelkie pojęcia jego o prawie i sprawiedliści zostały nagle zachwiane...

Przyszłość wierzę w to najmocniej — jest w rękach tego, kto potrafi kierować olbrzymią siłą, która drzemie w masach. *J. Maurevert.*

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Jerzy Kurnatowski: *Nitsche*. Łódź. Rychliński i Wegner 1903. — „Nie znajdziecie żadnej krytyki Nietschego w tem, co wam dać zamierzam — powiada autor we wstępie. Dam wam rzeczy przeczute z niego, które we mnie stopiły się w nowe całości, pełne i żywe, bynajmniej nie ostateczne, nie skrystalizowane raz na zawsze. To, jak zrozumiałem Nietschego, to tylko pragnę powiedzieć“. W pięciu krótkich studjach mówi autor właśnie, jak zrozumiał Nietschego. Najlepszem i bezprzecznie najbardziej przeczutem jest studjum pierwsze o człowieku tragicznym. W studjum p. t. „Polityka“ autor wikła się bardzo i ostatecznie nie wypowiedział tego, co chciał wypowiedzieć. Następują studja p. t. „Etyka“, „Kobieta i dziecko“ i „Nadczłowiek“. Oprócz tych studjów pomieszcza p. J. Kurnatowski w tejże samej książeczce tłómaczenia aforyzmów Nietschego. Tłómaczenia te świadczą o zrozumieniu zadań tłómacza, nie są zbyte, ale sumiennie i z wielkiem odczuciem opracowane.

Książkę zdobi reprodukcja rzeźby Maxa Klingera, przedstawiająca głowę Nietschego. *F. Gwiżdż.*

O naglącej potrzebie zorganizowania służby zdrowia w szkołach publicznych. Podał dr. Walerjan Serbeński. Lwów 1903. Lwowskie Tow. hygieniczne zamierza w przyszłym miesiącu urządzić zgromadzenie publiczne w celu omówienia sprawy ustanowienia lekarzy szkolnych. W ostatnim zeszycie organu Tow. hygienicznego (*Przeglądu hygienicznego*), rozpoczęto dłuższą pracę dr. W. Serbeńskiego, poświęconą temu przedmiotowi, a równocześnie wydano całą tę rozprawę w osobnej książce pod powyżej podanym tytułem (str. 64 w 8-ce) celem wstępnego zaznajomienia szerszych kół publiczności z celami, zadaniami i proponowaną organizacją lekarzy szkolnych w naszym kraju. W dziełku tem znajdzie czytelnik zarys historyczny dotychczasowych usiłowań różnych krajów dla należytego zorganizowania opieki lekarskiej nad fizycznem zdrowiem młodzieży szkolnej i wyczerpujące przedstawienie powodów, które wprowadzenie w życie instytucji lekarzy szkolnych, czynią naglącо pożądanem ze względów ekonomicznych, pedagogicznych i narodowych. Rozprawa dr. Serbeńskiego posłuży dla dokładnego poinformowania się o sprawie przed zgromadzeniem, przygotowywanem przez Tow. hygieniczne i w ten sposób dyskusja publiczna będzie ułatwioną i może doprowadzić do praktycznych wyników.

PISMA. Najnowszy, trzeci, zeszyt *Kwartalnika historycznego*, który dopiero co opuścił prasy drukarskie, stoi na tej samej wysokości, co ostatnie, to znaczy, nie rozwija się wcale. Co jest powodem tego zastoju, niewiadomo, w każdym jednak razie pismo to poważne, zasługuje nietylko na poparcie, ale i na to, aby się stało prawdziwem ogniskiem polskiej wiedzy historycznej. Lwią część omawianego zeszytu, zajmuje dział sprawozdawczy i recenzyjny — dział bardzo ważny co prawda, ale z chwilą, gdy obejmuje dwie trzecie części wydawnictwa za duży, bo świadczy o bierności pisma. Z prac oryginalnych pomieszcza *Kwartalnik* jedynie tylko początek dłuższej rozprawy p. A. Prochaski pod tyt.: „Sejmiki wiszyńskie w czasach trzech elekcji pojagiellońskich“. Bardzo dobry i szczegółowy „Przegląd literatury historji Żydów w Polsce 1899—1903“, napisany przez pp. Bałabana i Schorra, należy również raczej do działu sprawozdawczego, tak, jak i „Przegląd literatury historji powszechnej“, jak wreszcie „Kronika“ i „Bibljografja historji polskiej“, prowadzona przez dra E. Barwińskiego.

W ostatnim numerze *Przewodnika bibljograficznego*, wydawanego w Krakowie przez prof. K. Hecka, zwraca uwagę szczegółowy wykaz wydanych z końcem ubiegłego roku szkolnego programów, czyli sprawozdań gimnazjalnych, względnie rozpraw, które się zwykle w takich sprawozdaniach drukują. Co do tych rozpraw podnoszono niejednokrotnie, że zajmują się one rzeczami, które ani młodzież, ani szerszą publiczność nie interesują. W tym roku widać już postęp, bo znajdujemy n. p. w sprawozdaniu gimnazjum cieszyńskiego, rozprawę dr. E. Czarnika: „O poezji ludowej na Śląsku“ — drohobyckiego i jarosławskiego: wiadomości historyczne o tamtejszych kościołach. P. J. Wiśniowski (Jasło) pomieścił pracę „Współczesna liryka polska“, p. Maykowski (Nowy Sącz) „O poezji Marji Konopnickiej“, p. T. Klima (Wadowice) „Akta do konfederacji z r. 1768 województwa krakowskiego, a zwłaszcza Księstw oświęcimskiego i zatorskiego“. Najwłaściwszem zdaje się dla sprawozdań gimnazjalnych byłoby właśnie tego rodzaju wydawnictwo historycznych materjałów miejscowych i zabytków, które masami giną i niszczeją.

SZTUKA. *Nowy cykl Stachiewicza.* Autor legend o „Matce Boskiej“ dał na świeżo otwartą w Monachium wystawę nowy cykl, który budzi żywe zainteresowanie w świecie artystycznym. W pięciu obrazach, malowanych *en grisaille* — pisze korespondent *Tyg. Illustr.* p. J. K. — „artysta przedstawił szereg epizodów z wiekuistego szamotania się twórczych duchów, dążących do wyżyn sztuki. Cykl ten, widoczny owoc przeżytych cierpień i goryczy, to posępne a głębokie spojrzenie na znikomość sławy artystycznej. Widzimy tu różne „Upiory“ (Ateliergespenster), zjawiające się w przybytku pracy i łamania się z opornością materji. Na pierwszym obrazie stoi wymarzona przez wielu artystów sława, trzymając wieniec laurowy w dłoni. Z surowych rysów jej twarzy znać, że niebyle komu odda laur zwycięski. Na drugim, sucha, koścista postać męska w błazeńskich sukniach, siedząc na nizkiem pudle, ściera zawzięcie farby z palety, tuż obok i w głębi pracowni widać puste stalugi, oraz kopję grupy Laokoona, wiekuistego symbolu pasowania się ducha ludzkiego z więzami niemocy i zniszczenia. Ta postać, to ironja i szyderstwo, gaszące barwy twórczości, to ta złośliwość duchów małych i bezsilnych, które, nie mogąc nic stworzyć, zioną tchnieniem jadowitem na dzieła twórczości, to poziomość filisterskiej opinji, to przesada grymaśnego hyperkrytycyzmu. Na trzecim obrazie wielka postać melancholji, grającej na lirze, z ogromnemi skrzydłami, chwiejącemi się wśród ścian pracowni: to smętek, obezwładniający siłę twórczą i żrący duszę artysty powolnym bolem krzywd i zawodów. Następnym upiorem jest złość i zawiść, szpetna stara furja z wężami na głowie, która z zajadłością rozrywa wieniec laurowy. Po tem poszarpaniu sławy przychodzi widmo ostatnie, cicha śmierć pocieszycielka, owita w welony kiru, zaścielająca białym całunem puste łoże, po tym, „który był a nie jest“. Artystycznie najpiękniejszym jest obraz ostatni, przenikniony głęboką iście melancholją, znakomitą w układzie kompozycji i nastroju. Pod względem ekspresji najwyżej z tego cyklu stoi obraz drugi z demonem szyderstwa, wszystkie zaś pełne niepospolitych zalet, noszą na sobie piętno wytwórczej techniki artysty i doskonałego rysunku. Stachiewicz okazał tu nowe napięcie daru kompozytorskiego; umiał zakląć w kształty jasnych a głębokich symbolów treść duchową.“

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.